W górach Afganistanu

Góry w Afganistanie.

Ryszard Sawicki

Góry w Afganistanie są ciemnobrązowe, przykryte czapami śniegów. Pogórza są nieco jaśniejsze, z odcieniami ugru, podobnie jak stepy, które oddzielają strefy górskie od pustyń. Pustynie są złote lub żółte, ale czasem lśnią grafitową szarością bagien. albo bieleją płatami soli. Afgański Hindukusz Zachodni otoczony jest wstęgami płaskich terenów, które rozciągają się aż do niższych pasm górskich biegnących za granicą Iranu od północnego zachodu na południowy wschód. Pustynie afgańskie znajdują się na miejscu plioceńskich jezior. Są to pustynie kamieniste i żwirowe, zwane daszt, podobne do saharyjskiej hamady. Noszą nazwy

Daszt-e Naumid, Margo i Chas. Pustynią piaszczystą jest Registan. Są też pustynie gliniaste i topieliska błotne. Kewiry to rozległe dna zagłębień, częściowo pokryte solną skorupą i słonym błotem. Największy zespół kewirów nosi nazwę Gand-e Zere. Pustynie i stepy mają efemeryczną roślinność. Pod koniec lutego i w marcu czerwienią się tu maki, kwitną tulipany, kosaćce, rosną osetnice, jaskry, perz i cierń wielbłądzia. Na początku maja pozostają z nich tylko suche badyle. Bywają jednak wiosny gdy ziemię porastają wysokie trawy.

Monotonny krajobraz urozmaicony jest pojedynczymi wzniesieniami i dolinami rzek. Na początku lutego musiałem dobrze wytężać wzrok w poszukiwaniu odrobiny zieleni. Znaleźć ją mogłem w nadrzecznych zagajnikach zwanych tugajami. Są to osobliwe lasy bardzo trudne do przebycia. Rosną tam topole, oliwniki, wierzby, rokitniki, berberysy, głóg, powojnik wschodni, ciemiężnik i inne pnącza. Niektóre z tych roślin służą do wyrobu olejków eterycznych, barwników, żywic i smoły. Zieleń w zimie zanika, a latem przykryta jest siną powłoką kurzu. Afganistan ma zwykle barwę wyschniętej gliny. Tylko na wchodzie, w Nuristanie, jest więcej lasów, w których rosną sosny, świerki i jodły.

Zapachy rozmaitych roślin wyczuć można w najmniej oczekiwanych momentach. Nawet w zimie unoszą się niekiedy spod śniegu cudowne wonie. Wystarczy odrobina wilgoci, a wyschnięte badyle wydzielają eteryczne olejki, których zapach snuje się w czystym powietrzu. Ziemia afgańska pachnie jak sady pomarańczowe w Kalifornii. Bogactwo zapachów równa się bogactwu smaku owoców, ostrych przypraw i mocnej herbaty.

Jadąc z zachodu, aby zobaczyć barwy gór i stepów Afganistanu, poczuć smak świeżych granatów i zapach unoszący się nad śniegami, trzeba przebyć irańskie i tureckie góry i przełęcze, przejechać wzdłuż obszernej pustyni rozciągającej się na południe od Morza Kaspijskiego. Jedzie się drogami bez nawierzchni, omija się zdradliwe rozlewiska rzek i strumieni, które potrafią zatapiać w oka mgnieniu drogi. Unikać też musi wędrowiec spotkania z watahami wilków, które potrafią być bardzo niebezpieczne podczas ostrej zimy. W górach afgańskich, oprócz wilków, żyją śnieżne pantery, niedźwiedzie, archany, kozy i barany. Poza tym są w tym kraju szakale, hieny, dziki tugajskie, rysie, jelenie, zające, lisy, dzikie osły i małe gryzonie. Do obrony przed dzikimi zwierzętami, pasterze używają ogromnych owczarków.

Wśród błot i na rozlewiskach rzecznych znaleźć można gęsi, kaczki, łabędzie, bekasy. Na pustyni żyją pustynne kruki. Są też bażanty, kuropatwy i dropy. Dokuczliwe bywają jednak nie duże zwierzęta lecz komary, pajęczaki i szarańcza. Oczywiście dzikich zwierząt nie spotyka się przy drodze, ale wystarczy przystanąć gdzieś, odejść na bok, a zauważyć można choćby czarną sylwetkę kruka widoczną wyraźnie na tle żwiru albo piachu. Dalej w step zapuszczać się można tylko przy zachowaniu ostrożności. Najbezpieczniej trzymać się drogi.

Droga do Afganistanu z zachodu jest jedna. Wokół kraju biegnie też tylko jedna droga dobra na tyle, by można było poruszać się po niej samochodem. Ale i po tej drodze przejechać zdoła jedynie dobrze przygotowany samochód. Drogi żelaznej brak w Afganistanie.

Odpowiednikiem kolei transsyberyjskiej jest system dróg biegnących od Istambułu do Indii, a dalej do Indochin i na Półwysep Malajski. Jest to trasa transazjatycka. Ten południowy szlak nie jest wygodniejszy od północnego, ale za to jest bardziej urozmaicony choćby pod względem klimatycznym, bo gdy w górach panuje zima, z wysokich przełęczy zjeżdża się szybko w strefy o umiarkowanych nawet zimą temperaturach.

Góry w Afganistanie.

Udając się z Polski na wschód w 1977 roku, pojechałem Orient Expresem z Sofii do Istambułu, a dalej samochodami ciężarowymi jako przygodny pasażer. Nim dojechałem do Indii, a potem do Japonii, byłem w Iranie, w którym panował szach i w Afganistanie nie tkniętym jeszcze przez pociski sowieckich czołgów i śmigłowców. Przecinając w okolicy Morza Kaspijskiego szlak wędrówki armii generała Andersa, myślałem o losach swoich kuzynów, którym udało się wydostać z wojskiem polskim z „nieludzkiej ziemi". Jako dzieci zbyt osłabione, aby przetrwać transport do Europy, zostali oni skierowani do obozów dla uchodźców zorganizowanych w Pakistanie i Indii. Dopiero po wojnie dostali się do Anglii. Ja starałem się dotrzeć przez Azję do Australii bądź do Ameryki. W Indii mieszkałem przez kilka miesięcy.

Udało mi się przejechać przez Afganistan w okresie względnego spokoju w tej części świata. W czasie podróży nie znalazłem się w żadnym większym niebezpieczeństwie. Dopiero w Indii trafiłem do szpitala, ale nie z powodu jakichkolwiek ran od kuli czy noża, a jedynie z powodu choroby, której uległem osłabiony podróżą i utrzymywaniem skromnej diety z powodu koniecznych oszczędności. Jadąc przez Afganistan odczuwałem już zmęczenie, bo wybrałem się w tę drogę bez należytego przygotowania i rozeznania, mimo iż wypytałem przed wyjazdem kogo tylko mogłem i wyczytałem co tylko znalazłem na półkach bibliotek. Wtedy nie można było korzystać w Polsce z pomocy biur podróży w takim stopniu, w jakim to dziś jest możliwe. Kierowałem się na przełęcz Khyber, by dotrzeć do cieplejszego klimatu w Pakistanie. Miałem dość widoku ośnieżonych gór, tęskniłem do ciepła tropiku, do zielonych dolin zamieszkałych przez ludność osiadłą, nie tylko przez wędrujących swoimi ścieżkami nomadów.

Duża część ludności Afganistanu to właśnie wędrujący koczownicy, z których wielu trudni się hodowlą owiec karakułowych. Obszary rolnicze nie są zbyt rozległe. Uprawa roli wymaga irygacji, a kanały irygacyjne bywały często niszczone przez najeźdźców. Jadąc przez kraj odnosi się wrażenie, że jest on niemal bezludny. Miasta, poza Kabulem, są małe, nie przyciągają wielkiej liczby mieszkańców, jak dzieje się to na przykład w Iranie. W latach siedemdziesiątych nie było tam wyraźnych śladów rozwoju, jakiego nadał swemu krajowi szach Reza Pahlawi. Podczas mego pobytu, rządy w Afganistanie sprawował gabinet prezydenta

Mohammada Daouda. Został on stracony po najeździe sowieckim w 1978 roku. Po nim trzech prezydentów przejmowało ster rządu i wszyscy podzielili los Daouda. Specyficzne warunki, jakie zapanowały po najeździe i w jakich rozmaici przywódcy dochodzili do władzy, a potem byli usuwani, nie miały precedensu w historii kraju, obfitującej skądinąd w niezwykłe wydarzenia. Od setek lat Afganistan był terenem krwawych zmagań. Niektóre armie zdobywały kraj dla obcych władców, inne przechodziły tylko, by podbić dalej położone ziemie. Dążyły na południowy wschód, transazjatycką, rzec by można, trasą. Szły przez przełęcz Khyber.

Zapewne niewiele jest na świecie przełęczy o tak ważnym znaczeniu strategicznym. Jest to jedyna droga, którą przejść mogły wojska dążące na podbój Indii. Tędy właśnie prowadzili swe armie Aleksander Wielki i Tamerlan. Burzliwa historia Afganistanu przyczyniła się do powstania opinii, że jest to kraj, którym nie sposób rządzić. Jednak nie tylko to było przyczyną jej powstania. Krajem tym rządzą warunki naturalne w większym stopniu niż ludzie. Wysokie góry i pustynie na obszarach niżej położonych, gdzie mieszkańcy usiłują z trudem uprawiać rolę, pora deszczowa, która trwa krótko – od grudnia do kwietnia. Ponadto, nie zawsze opady są obfite. Lato natomiast jest niezwykle upalne i zupełnie suche. Na obszarach górskich jest duża rozpiętość temperatur. Podobny klimat mają Himalaje i Tybet. Czy można się dziwić, że ludzie nawykli do walki z przyrodą niełatwo ulegają woli innych ludzi?

Podróżowanie po kraju, w którym nie ma kolei, a bitych dróg także niewiele, nie należy do przedsięwzięć najłatwiejszych. Owszem, przejazd przez Afganistan możliwy jest dzięki drogom, których nawierzchnie zbudowali obcokrajowcy, a które tworzą wielką obwodnicę. Jednak drogi zaznaczone na mapie kończą się niekiedy przerywaną linią. Kilkanaście małych lotnisk (poza jednym dużym w Kabulu), które są rozsiane nieregularnie po kraju, w nieznacznym tylko stopniu ułatwia transport.

Drogę z Islam Qala (miejscowości położonej na północy, tuż przy granicy z Iranem) zbudowali Amerykanie w 1968 roku. Wcześniej Brytyjczycy położyli nawierzchnię asfaltową na odcinku Kandahar-Kabul. Rosjanie natomiast ułożyli betonowe płyty między Heratem i Kandaharem. Zostały one ułożone nierówno, nawet prowadzenie dużych samochodów ciężarowych nie jest łatwe, a tym mniej osobowych. Zmniejszenie szybkości nic nie daje, gdy kabina kierowcy podskakuje na kolejnej płycie, a reszta ciężarówki znajduje się jeszcze na poprzedniej, tak więc wszystkie

części samochodu wystawione są na ciężką próbę wytrzymałości. Trudno wprost uwierzyć, że budowniczowie myśleli o ruchu samochodowym, a nie o transporcie czołgowym. Przyznać jednak trzeba, że gąsienice czołgów niszczą łatwiej asfalt niż beton.

Dzieci w Afganistanie.

Nim cyrkowe niemal wyczyny bułgarskiego kierowcy pozwoliły zbliżyć się nam do Kandaharu, wcześniej tego dnia widziałem Herat. Niestety tylko z daleka. Nie przyjrzałem się więc wspaniałym murom starego miasta, ani ogromnemu meczetowi Masdżid-e Dżami. Nie widziałem też na bazarach dywanów, kilimów, pięknie barwionej wełny i jedwabiu, niebieskiego szkła herackiego, biżuterii z lapis lazuli, ani snycerskich wyrobów, mis i dzbanów z mosiądzu i miedzi. Jednak zdążyłem zauważyć, że miastu słusznie należy się sława „miasta stu tysięcy ogrodów”. W dzielnicach podmiejskich widziałem delikatne odcienie świeżej zieleni wokół domów z wysuszonej na słońcu ugrowej cegły i na tle murów, które otaczały ogrody. Z drogi biegnącej wyżej niż leży Herat, zobaczyłem parterową przeważnie zabudowę. Ulice

są szerokie i proste, wysadzane wysokimi sosnami. Wodę rozprowadzają wąskie kanały. W śródmieściu mniej drzew, ale za to więcej starych murów. Miasto, niegdyś intelektualna stolica Środkowej Azji, wydawało się raczej stolicą dużego powiatu niż metropolią. Chociaż Herat nie leży bezpośrednio nad rzeką, to dolinę heracką wyrzeźbiła właśnie rzeka Hari Rud. W żyznej okolicy na łagodnych zboczach uprawia się pszenicę. Przez okno ciężarówki widziałem jak rolnicy zaczynali już w lutym wiosenne prace na polach.

Za Heratem droga biegnie przez pustkowie. Wkrótce przekraczamy granicę prowincji Farah. Trzeba opłacić „rogatkowe", które pobiera żołnierz ze starym modelem karabinu w dłoni. Podnosi lekki szlaban, można jechać dalej. Na każdej prowincjonalnej granicy pobierane były takie same, niezbyt wygórowane opłaty. Czasem, z dala od drogi, pojawiały się ciemne namioty koczowników i małe wsie otoczone skrawkami ziemi uprawnej z trudem wydzieranej stepowi. Pola zabezpiecza się przed erozją pryzmami kamieni. Na stokach górskich pola tworzą tarasy podobne to tych, jakie zobaczyć można na Dalekim Wschodzie, w Chinach czy Japonii. Nie zajmują jednak wiele miejsca na zboczu góry. Przy polach pojawiały się pojedyncze domy, a przy nich stosy drewna na opał, cennego w tych rejonach, gdzie drzew jest mało. Drewno jest przedmiotem handlu Przenoszą je ludzie na własnych plecach, obarczają nim muły, osły i wielbłądy. Zwierzęta i ludzie niosący suche gałęzie wyglądają z daleka dość osobliwie. Stosy gałęzi sterczą zwykle wysoko nad grzbietem zwierzęcia lub głową człowieka. Wygląda to tak, jakby góry chrustu poruszały się same, dopiero po chwili widać, że to nie czarodziejska siła je przenosi. Czasem idzie cała procesja: na przedzie wielkie stosy niesione przez wielbłądy, za nimi mniejsze umieszczone na grzbietach osłów i mułów, a na końcu także i człowiek ugina się pod ciężarem.

Po kilku godzinach jazdy góry znajdują się już tylko po lewej stronie drogi. Na prawo wznoszą się samotne skały na zupełnie płaskiej równinie. To obrzeża pustyni Margo, która na wschodzie łączy się z pustynią Arbu Lut. Przed Kandaharem przecinamy rzekę Helmand, jedną z trzech największych rzek Afganistanu. Dwie inne to Kabul i Amu Daria, wzdłuż której biegnie część północnej granicy państwa. Przed zachodem słońca znajdujemy się wciąż w prowincji Helmand. Jedziemy w kierunku południowo-wschodnim. Błękitna kopuła nieba nabiera różowego odcienia, ale róż przechodzi szybko w purpurę. Czyste powietrze nie odbiera nic intensywności barwom, które

rozlewają się po całej ziemi. Im niżej stacza się kula słońca, tym wyżej na zboczach gór i na niebie wznosi się barwny krąg światła. Wygląda to tak, jakby światło zlewało się z powrotem do swego źródła.

Noc spędzamy w Kandaharze. Miasto czai się w mroku naftowych lamp zapalonych przy wciąż jeszcze otwartych kramach z warzywami i owocami i w świetle elektrycznym przy znakach drogowych. Innych świateł elektrycznych brak z uwagi na oszczędności energii, albo awarię w elektrowni. U przydrożnego piekarza kupujemy świeży chleb afgański, długi i płaski. Jest wspaniały, został właśnie wyjęty z małego pieca opalanego węglem drzewnym. Jestem zbyt zmęczony by zwiedzać miasto. Cyrkowe podskoki na wielu kilometrach drogi zmęczyły bardziej niż jazda na półdzikim koniu. Jutro trzeba ruszać w dalszą drogę. Nie zobaczę więc ani jednego z czterech bazarów, gdzie można znaleźć haftowaną pięknie odzież i czapeczki, naczynia z drewna, wyroby ze srebra i złota. Nie spróbuję, jak smakują sławne winogrona (jest ich podobno kilkanaście gatunków), figi, morele, brzoskwinie, melony, arbuzy i granaty. Zasypiam marząc o sokach owocowych.

Ghazni.

Rano kierujemy się w stronę Kabulu, znowu pod górę. Wjeżdżamy w niezmiernie długą dolinę zostawiając za sobą równinę pustyni. Wspinamy się powoli na wysokość 2100 metrów, potem zjeżdżamy nieco niżej w dolinę, w której leży stolica Afganistanu. U wylotu doliny Tarnak zaskakuje nas zimny wiatr, trzeba włączyć

ogrzewanie w kabinie samochodu. Na szczęście nie jest on zbyt silny, ale wędrowcy muszą się strzec takiego wiatru. Nabiera on często mocy górskiego huraganu i biada temu, kogo zaskoczy na górskiej przełęczy. Na zboczach gór pojawiają się znowu duże płaty śniegu, jak w okolicach przed Heratem. W dolinie coraz więcej osiedli, których architektura różni się od dotychczas spotykanej. Zamiast dachów w kształcie przeciętych walców i kopuł, budowane są tutaj domy-warownie otoczone wysokimi murami. Wewnątrz czworoboku zamkniętego murem, za potężną bramą, jest wolny, obszerny dziedziniec. Niektóre ogrody otoczone są również wysokim, glinianym murem.

Dojeżdżamy do Ghazni, którego zabudowania rozrzucone są malowniczo na stokach górskich i na dnie doliny. Domy stoją przeważnie w pewnym oddaleniu od siebie. W tych, które położone są poniżej szosy, można jak na dłoni obserwować toczące się za murami życie. W tej okolicy ludność trudni się hodowlą owiec i sadownictwem. Słynne są doskonałe „rodzynkowe" winogrona, granaty (podobno najlepsze na świecie) i brzoskwinie. Uprawia się też pszenicę i rośliny motylkowe. Nad miastem pełnym krętych ulic górują minarety i twierdza otoczona szczególnie grubym, glinianym murem.

Wreszcie Kabul, miasto wypełniające obszerną dolinę, pośrodku której sterczy olbrzymia skała. Niektóre dzielnice trzymają się kurczowo zboczy tej skały, stopniami podchodzą aż pod pionową ścianę. Jedną z dzielnic Kabulu był zbudowany długo przed inwazją tzw. Ruski Kwartał (nazywany tak i przez przechodniów i twórców lokalnych map). Podobno tylko w tej dzielnicy można pić wodę bez konieczności gotowania, tam więc udaliśmy się, by u polskiego inżyniera poprosić o napełnienie zbiorników. Architektura tego „kwartału" przypomina do złudzenia brzydkie dzielnice miast wschodniej Europy czy Moskwy. Długie bloki mieszkalne są przeważnie czteropiętrowe, podzielone klatkami schodowymi prowadzącymi do kilku mieszkań w jednej klatce. Nawierzchnie ulic pokryte są asfaltem, utrzymane w czystości. Stanowi to duży kontrast z zresztą miasta, którego boczne ulice tchną odorem zgnilizny mimo zimowych warunków, a wygląd głównych ulic każe myśleć o Kabulu jako o mieście zajmującym miejsce pośrednie między dość nowoczesnym Teheranem, a najgorszą nędzą azjatycką zaułków Kalkuty. Jednak pozory mylą. Polski inżynier spotkany w Kabulu zapewniał, że niejeden ze zwykłych przechodniów w zabłoconych butach byłby nader mile widzianym klientem szwajcarskiego banku.

Nie należy mylić zabłoconych butów z pustym portfelem. Dzielnicy rosyjskiej nie wypełniał kolorowy tłum Afganów. Jasnowłose dzieci bawiły się na obszernych placach i wątpię, czy potrafiłyby się porozumieć z rówieśnikami o czarnych włosach. Mimo utrzymywanej względnej schludności i porządku, mimo tego, że Słowianin wyczuć mógł pewien swojski nastrój panujący w tej enklawie oddzielonej niewidzialnym murem od otaczającej zewsząd Azji, mimo wszystko – bezduszna, standardowa zabudowa tworzyła coś niesłychanie sztucznego, niedopasowanego żadną miarą do reszty miasta. Gdyby nie dzieci, można by było przypuszczać, że „ruski kwartał" to olbrzymie koszary, nie dzielnica mieszkaniowa.

Zaśmiecone, pokryte błotem ulice Kabulu tętniły życiem. Może nie tak wartkim, jak sto lat wcześniej, kiedy w mieście było osiemdziesiąt meczetów i piętnaście karawanserajów. Na bazarach sprzedawano wtedy towary z Indii, Rosji, Wielkiej Brytanii oraz rodzime wyroby takie jak muszkiety, rusznice, pistolety, miecze, kindżały i tarcze. Oczywiście nie brakowało tkanin i dywanów. Nie brakowało ich też w wieku dwudziestym, choć muszkietów i rusznic nie widziałem. Dywany i kilimy afgańskie nie są tak jasne, jak dywany indyjskie czy perskie. Ich barwy utrzymane są w ciemnej tonacji. Odzież noszona na co dzień wygląda elegancko, może dlatego, że jest to odzież tradycyjna. Mężczyźni noszą obszerne szarawary ściągnięte u pasa, długie koszule wpuszczone w spodnie i kamizelki. Na plecach mają narzuty, bawełniane lub wełniane chałaty. W zimie noszą półkożuszki, futrzane kamizelki. Na głowie mają obszerne zawoje wokół czapeczek podobnych do biretu. Kobiety noszą również ciemne stroje, bufiaste spodnie, długie koszule lub suknie. Twarze zasłaniają chustami. Z głowy spływa długa aż do ziemi, marszczona narzuta. Postać w takiej narzucie wyglądała pięknie, zwłaszcza w ruchu lub na wietrze.

Magazyny dywanów, kilimów i tkanin, pracownie rzemieślników, sklepy i kramy z warzywami i owocami, piekarnie skąd unosiła się woń chleba – otwarte były ku ulicom, pozbawione drzwi i okien wystawowych. Przechodnie mogli z zewnątrz śledzić pracę tkaczy, kuśnierzy i kaletników. Fryzjerzy pracowali na chodnikach, mimo dość niskiej temperatury. Golili włosy i strzygli ciemne brody klientów, którzy przykucali przy krawężniku, czasem przysiadali na stołku lub krześle. Szewcy rozkładali swoje narzędzia też na chodnikach, na skrawku płótna, albo trzymali je w otwartym drewnianym lub metalowym pudle. Naprawdę bogato wyglądały jedynie apteki. Ich wnętrza odgrodzone były od ulicy dużymi oknami, drzwi pozostawały

zawsze zamknięte. Nędza i zniszczenie nastały dopiero w dniach sowieckiej inwazji.

Co spotykało najeźdźców, którzy zapuszczali się w góry Afganistanu, doświadczyli już Anglicy. O ich klęsce myślałem jadąc z Kabulu dalej na wschód, przez Chord Kabul. W styczniu 1842 roku cztery i pół tysiąca żołnierzy generała Elphinstone'a wycofywało się właśnie tą trasą na Dżalalabad. Towarzyszył tej armii dwunastotysięczny tłum cywilów. Atakowani w wąskim, głębokim kanionie żołnierze nie mogli się bronić. Do małej wsi u wylotu kanionu dotarło tylko kilkunastu jeźdźców. Zatrzymali się na krótki postój, lecz rano wymknął się ze wsi tylko jeden samotny jeździec, lekarz wojskowy Brydon. Podarowano mu życie, by mógł donieść wieści o strasznej klęsce do Dżalalabadu. Zajęty myślami o klęsce Brytyjczyków nie podejrzewałem, że już wkrótce czytać będę w prasie amerykańskiej o kolejnym najeździe i kolejnej klęsce najeźdźców.

Wyjechaliśmy z Kabulu o świcie, ale w miarę jak zjeżdżaliśmy w dół robiło się ciemniej, gdyż promienie słoneczne z trudem docierały do dna pogłębiającego się kanionu. Wody rzeki Kabul wyrzeźbiły w skałach przełom inaczej niż wody rzeki Colorado, lecz rzeźba to nie mniej fantazyjna. Wąska droga wije się niebezpiecznymi serpentynami, zakręty zmuszają kierowcę do maksymalnej ostrożności. Tylko chwilami można zdjąć nogę z hamulca. Wreszcie skały się rozstępują, wzrokiem sięgnąć można aż po daleki horyzont. Natychmiast robi się cieplej, zima została za nami. Pojawiają się zieleniejące pola i drzewa wokół wsi, których zabudowania mają obronny charakter. Siwy starzec ubrany na biało z obszernym płatem pomarańczowego płótna przerzuconym przez ramię idzie wśród pryzm czarnej, wilgotnej ziemi i miarowym ruchem sypie ziarno. Inne postacie w barwnych strojach odcinają się nie mniej wyraźnie od ciepłego brązu zaoranych pól i wśród szarawych, nie poruszonych jeszcze drewnianą sochą płatów ziemi. Inaczej niż w mieście, ludzie pracujący na polach ubrani są często w stroje jasne o bardziej żywych barwach. W Nuristanie, prowincji położonej na południowym wschodzie Afganistanu, uprawia się proso i kukurydzę. W sadach rosną orzechy i oliwki. Stąd pochodzą też aromatyczne gatunki miodu. Jest to kraina zalesiona, rosną tu dęby i drzewa iglaste, w oazach palmy i drzewa figowe. Dociera tu osłabiony monsun.

Góry w Afganistanie.

W okolicy Dżalalabadu zaskakuje nas burza pyłowa. Silny wiatr unosi z wysuszonej ziemi drobny pył, który tworzy gęstą mgłę. Promienie słońca przenikają przez nią z trudem. Widoczność ograniczona jest do kilkudziesięciu metrów. Cienie przydrożnych drzew są dzięki temu widoczne już w powietrzu. Sylwetki pni i gałęzie są natomiast niewyraźne, co sprawia wrażenie iż cień i przedmiot zlewają się ze sobą. Pył rozmywa dalsze plany, skraca perspektywę i zniekształca ją. Rzeczy niezbyt odległe wydają się ustawione dalej niż są naprawdę. Pył wciska się do kabiny samochodu mimo, że okna są zamknięte. Pełno go w gardle i w nosie. Ludzie oderwani nagle od robót w polu wracają do domu zakrywając twarze skrawkami płótna. Niosą na ramionach narzędzia rolnicze o kształtach, jak z ilustracji w podręcznikach historii.

W pewnym momencie w chmurze pyłu zjawia się i zaraz znika troje ludzi. W środku świata Koranu scena jak z Biblii: wspierający się na długim kiju mężczyzna prowadzi osła, na którym siedzi kobieta chroniąca w ramionach dziecko.

Podczas gdy rzeka Kabul wciąż dąży ku Indusowi, my skręcamy tuż przed granicą znowu w stronę gór. Przez przełęcz Khyber, która zwęża się znacznie miejscami, lecz

nie tak bardzo, jak kanion rzeki Kabul, przejeżdżamy do Pakistanu.

Kiedy wspominam Afganistan, wracam myślami zwłaszcza do ostatniego dnia pobytu w Kabulu. Za miastem, na dużym placu widziałem tłum ludzi. Byli odświętnie odziani, niektórzy mieli na sobie europejską odzież. Rozbawione dzieci biegały wokół czarnych powozów. W tych powozach z innej epoki przyjechały rodziny na święto latawców. Były też nowocześniejsze samochody i dorożki. A nad głowami radosnego tłumu wzbijały się wysoko kolorowe latawce. Na tle ciemnych gór i głębokiego błękitu nieba mieniły się wspaniałymi barwami raz po raz prześwietlane promieniami słońca. Jednym z zakazów wydanych przez Talibów był, jak słyszałem, zakaz puszczania latawców.